

Jak co roku wieś polska obchodzi swoje Święto Ludowe w okresie dojrzewania zbóż, zapowiadających lepszy niż ongiś urodzaj. To Święto ma swoją 64-letnią tradycję, narodziło się w walce o lepszy byt, o wyjście z zacofania i o równe polityczne prawa. Dziś ma ono zupełnie inny charakter. Jest wyrazem stale umacniającego się sojuszu robotniczo-chłopskiego który zapoczątkowany został w latach trzydziestych, w krwawych starciach z policją sanacyjną, w wielkim strajku wsi polskiej w r. 1937 oraz na polach walk partyzanckich w latach okupacji.

Tegoroczne Święto Ludowe ma szczególne znaczenie. Wiąże się z 50 rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości, z 40 rocznicą powstania Zjednoczenia Lewicy Chłopskiej „Samopomoc”, z 40 rocznicą powstania Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, z 25-leciem Ludowego Wojska Polskiego i z 25 rocznicą walk stoczonych przez Bataliony Chłopskie. Do tego dołączają się rocznice rewolucyjnego ruchu robotniczego: 50-lecie powstania KPP i 20-lecie PZPR. I te rocznice bliskie są wsi polskiej, z niej bowiem wywodzi się duża część klasy robotniczej.

Wieś wielkopolska przeżyła nieco inną drogę do Polski Ludowej. Jej ruch ludowy kształtował się w walce z germanizmem napierającym w okresie zaborów. Kiedy niektórzy wielkopolscy panowie przegrywali w karty wielkopolską ziemię, chłop w ramach wspólnego działania bronił ojcowizny przed dostaniem się jej w ręce junkrów pruskich i kolonizatorów. Aby wzmocnić swoje go spodarstwa, udawali się na roboty do Westfalii, gdzie każdy groź o-szczędzali, by go potem przeznaczyć na budowę obór, stodół i domów w rodzinnych stronach. Rolnicy i ich dzieci bronił polskiej mowy, polskiej tradycji, polskiej kultury. Ani „żelazny kanclerz” Otto v. Bismarck, ani HaKaTa, ani „Kulturkampf” nie zwały wielkopolskiego chłoparę przeciwieństwo umocniły jego postawę patriotyczną. Ten wielkopolski chłop razem z bracią robotniczą, gdy tylko ucichły armaty na frontach I wojny światowej i jeszcze nie zdążył zdjąć z siebie munduru pruskiego żołnierza — szedł na front Powstania Wielkopolskiego. Był to okres nie zorganizowanej politycznie a coraz silniejszej solidarności wielkopolskiego chłopstwa z wielkopol-

skim proletariatem miast i miasteczek.

Dopiero w okresie międzywojennym polityczny ruch ludowy zaczął kształtować się na terenie wsi wielkopolskiej pod wpływem bardziej świadomych walk klasowej osiedleńców z terenu byłego zaboru austriackiego. Coraz więcej członków zaczęły zdobywać mniej lub bardziej radykalne odłamy stronnictw ludowych. Równocześnie na Uniwersytecie Poznańskim powstał ruch „wiciowy”. Na zwolenników organizowanego ruchu ludowego posypały się gromy z ambony, gdyż kler poczuł się zagrożony w uzurpowanej przez siebie pozycji duchowego i politycznego przywódcy ludu, zaniepokoiły się pałace i dwory oraz bogate mieszczaństwo. Ten dotąd „prowadzony za rączkę” rzekomo nieświadomiony politycznie i społecznie chłop poczuł się w pełni odpowiedzialny

Józef Pieprzyk

TRADYCJA I POSTĘP

za losy swojej wsi i za losy całego kraju.

Dowody swojego patriotyzmu dał w kampanii wrześniowej. Wielu synów wielkopolskiej wsi poległo na polach bitew wszystkich ówczesnych frontów. A ci, którzy wrócili — zorganizowali Bataliony Chłopskie, celem rozprawienia się z najeźdźcą. Ci zaś, którzy zostali wysiedleni, gdziekolwiek się znaleźli, włączali się w ruch oporu; niektórym z nich nie dane już było wrócić do rodzinnych wsi.

Po wyzwoleniu chłop wielkopolski stanął na rozdrożu. Miał do wyboru tradycyjny i nieodpowiadający nowej sytuacji, a więc wsteczny, mikołajczykowski, kierunek polityczny, i radykalny kierunek ludowy. Ten ostatni zwyciężył. Dziś Zjednoczone Stronnictwo Ludowe stało się poważnym sojusznikiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Skupia ono przeszło 35 000 chłopów wielkopolskich i inteligencji pochodzenia wiejskiego, oddane sprawie wsi. Lu-

redakcyjny reporter daje fotografie nie pozbawione walorów artystycznych.

W fotografię — obok tematów przyrodniczych — dziecko jest obiektem trudnym do utrwalenia na kliszy. Zarazem jednak jest to temat najwładźniejszy i można go wygrać przy umiętym, śmiałym podejściu.

Otwarta w MKPiK-u wystawa indywidualna jest w pełni sprawdzianem szorstkich umiejętności K. Przychodzkiego i w tym właśnie temacie. Jego zdjęcia pozbawione są narzuconej pozy, o którą przecież nie trudno przy fotografowaniu dzieci. Kamera Przychodzkiego patrzy na dziecko bez udziwnień, rejestrując jego swobodną pozę. Autor unikał kontrastów i to bardzo wyraźnych, jakich zresztą w określonych przypadkach piękno egzotyki i dodatkowy koloryt. Mam tu na myśli zwłaszcza cały cykl cygański, stanowiący bezsprzecznie swolasty „gwóźdź” prezentowanej gamy fotografii. Kamera Przychodzkiego wykozystuje też każdą nadającą się okazję, by zaprezentować

nam dzieci w ich naturalnej pozie. Dlatego wystawa ma należyć wydzwizk, tak pasujący do okoliczności, dla których została eksponowana. Oglądamy zdjęcia dzieci w najrozmaitszych sytuacjach: uśmiecnięte i smutne, przy nauce i zabawie, przy iraszkach letnich w wodzie i zimowych na śniegu, podziwiamy portrety dzieci takich, jakie są one naprawdę, na co dzień. I nie bez znaczenia sam autor podkreśla, że starał się „dać prawdziwy obraz dziecka naszego dnia codziennego, na gorąco przedstawia kawałek życia tych najmłodszych”. Jeśli dodamy, że uzupełniono fotografie trafnymi podziałkami („Babcia — trener”, „Dzieci nie są samotni”, „Rwale”, „Mama — kobieta”, „Na pierwszej deffladzie”, „Urzedowna”) otrzymamy pełen obraz człowieka w jego najbliższym otoczeniu, który swoim bezspornym talentem tworzy trwałe i niezwykle wymowne wartości.

FOTOGRAFIKA



dowcy ci stali się inicjatorami wielu czynów społecznych. Wespół z członkami PZPR wprowadzają do wsi i jej zagrodów nowoczesną kulturę, otwierają drzwi wiejskich domów przed wiedzą polityczną, społeczną i rolniczą. Nie sposób tu wymienić wszystkich akcji, wszystkich inicjatyw zrealizowanych już i nowych. „Chłopi nie należą już do tej klasy, która tylko sieje i orze. Wieś stanowi jednolitą z klasą robotniczą trzon narodu, odpowiada i chce odpowiadać za ten głęboki siew kultury i oświaty, za orkę, która wydobędzie na wierzch nowe warstwy społeczne, za oblicze ideowe swojej Ludowej Polski”. Te słowa działacza ludowego — J. Ozgimichalskiego — odnoszą się także do wsi wielkopolskiej, świadomej swojej roli i zadań.

Chłop wielkopolski zdaje sobie sprawę z dobrodziejstwa nowego ustroju. Codziennie przecież na naszej wsi powstaje 10 nowych zagrodów w miejscach starych i niewygodnych. Rozszerza się elektryfikacja, na polach zjawiają się coraz liczniejsze traktory z towarzyszącymi maszynami. Dzięki rozwijającemu się przemysłowi praca w polu i zagrodzie staje się lżejsza. Na zbędne zaś ręce czekają rejony przemysłowe.

Oto rezultat socjalistycznej gospodarki ogólnonarodowej. Czas pokoju przyspiesza ten dorobek. Nie dziw więc, że chłop polski z niepokojem patrzy na wojnę w Wietnamie, wywołaną i podtrzymywaną przez siły imperializmu. Oburza się na machinacje kół syjonistycznych w naszym kraju, usiłujących zakłócić codzienny tok pracy, sabotować dążenia całego narodu. Mając wiekowe doświadczenia walki z germańskim „Drang nach Osten” czujnie śledzi odradzanie się neohitlerizmu w NRF. Świadomy jest on, że od jego pracy zależy także obronność kraju i że kraj ten nie jest już jak ongiś osamotniony, gdyż ma sprzymierzeńca w potężnym Związku Radzieckim.

Idą nowe czasy przez naszą wieś, zmieniają jej oblicze, kształtują nową postawę jej mieszkańców, stare wartości wymieniają na nowe, wprowadzają nowe wzory kulturalne. Święto Ludowe jest świętem tej nowej wsi w barwach czerwonych, białych i zielonych.

Zdzisław Romanowski

Syjonistyczne ataki na ZSRR

Korespondencja „Interpressu” z Moskwy

W ostatnich miesiącach Polska stała się głównym celem syjonistycznych, nie przebiegających w środkach ataków ze strony światowej syjonizmu, posiadającego na swoich usługach olbrzymi aparat propagandowy wyspecjalizowany w akcjach dywersji, prowokacji. Ale wojący syjonizm demonstruje swą nienawiść i do innych krajów socjalistycznych, zwłaszcza zaś do Związku Radzieckiego. Podobnie jak w wypadku Polski syjonistom chodzi o poparcie udzielone przez ZSRR i kraje socjalistyczne narodom arabskim w okresie agresji izraelskiej poparcie, które przekreśliło imperialistyczne plany podporządkowania sobie całego Bliskiego Wschodu.

Dwaj radzieccy pisarze pochodzenia żydowskiego — poeta Abram Gontar i prozaik Michaił Lew wystąpili na łamach „Litieraturnej Gaziety” z obszernym artykułem demaskującym poczynania syjonistów w odniesieniu do ZSRR. Warto na podstawie tego artykułu i innych źródeł przedstawić pokrótce ten problem.

Jednym z zadań, które stawiają przed sobą izraelscy ekstremiści jest szybkie zwiększenie Izraela drogą napływu Żydów z całego świata. Zagarnięte arabskie ziemie stanowią dla Dajana i innych zwolenników samobójczego kursu inny dodatkowy argument na zwiększenie liczby Żydów osiedlających się w Izraelu. Jednak propaganda w żydowskich kołach Stanów Zjednoczonych i innych krajach zachodnich na rzecz wyjazdu nad Jordan przynosi raczej skromne efekty. Co innego jest dawać nawet miliony dolarów, czy organizować awantury pod polskimi ambasadami na Zachodzie, a co innego podjąć samemu decyzję wyjazdu i narażać siebie i swą rodzinę na niepewny w związku z awanturą polityką Tel-Awiv, los. W tej sytuacji oczy przywódców syjonistycznych obracają się znów jak wtedy, gdy kształtowała się dopiero idea państwa żydowskiego, na wschód. Chodzi o ludność żydowską w Związku Radzieckim, o pełnoprawnych obywateli radzieckich, w których koła syjonistyczne chciałyby widzieć potężny rezerwuariat imigracji do Izraela. Jest to oczywiście bzdurna idea, ale ci którzy nie wahają się wysuwać koncepcji wielkiego Izraela w granicach odczytanych z biblii, nie boją się, jak widać, angażować w tego typu awantury.

Pod hasłem niezapominania o trzech milionach Żydów w ZSRR, rozwinęto w Stanach Zjednoczonych, gdzie krzyżują się nici dyspozycyjnych ośrodków światowego syjonizmu, całą kampanię. 25 różnego rodzaju żydowskich organizacji w USA powołało do życia wspólną, stałą „Amerykańską Konferencję Żydowską d. s. Żydostwa w Związku Radzieckim”. Jej przewodniczącym został nowojorski rabin Israel Miller, któremu w okresie jego pobytu w Moskwie umożliwiono odprawienie modłów w czynnej synagodze przy ulicy Arhimowa, a który po takim zetknięciu się z przejawami tolerancji religijnej w ZSRR zamiast przejrzeć, stał się jednym z najbardziej zagorzałych uczestników antyradzieckiej, syjonistycznej kampanii.

Celem tej kampanii jest wywołanie wrażenia, że w Związku Radzieckim istnieje antysemityzm, że ludność żydowska jest ograniczana w swych prawach obywatelskich i religijnych. Jako dowody owego rzekomego antysemityzmu przytacza się... radzieckie stanowisko w sprawie agresji izraelskiej, głosy prasy radzieckiej piętnujące syjonizm i jego rasistowską ideologię. Nam Polakom tego rodzaju chwytły są dobrze znane.

W Związku Radzieckim natomiast dotychczas o antyradzieckich propagandowych wyczynach amerykańskich i innych syjonistów pisało się stosunkowo mniej niż w Polsce.

Zarzut o rzekomym antysemityzmie w ZSRR są zresztą obliczone nie tylko dla zagranicy. Ślusznie zwracają uwagę autorzy artykułu „Rabin Miller w roli proroka”, że kolportowanie tych zarzutów ma na celu zatrucie atmosfery wokół nieistniejącego tzw. „problemu żydowskiego w ZSRR”. A to z kolei wiąże się z nadzieją przywódców syjonistycznych na nowe źródła imigracji.

„Litieraturnaja Gazieta” pisze: „Od początku izraelskiej agresji syjonistyczna prasa Stanów Zjednoczonych zalewa narastający potok niepotwierdzonych (bo skądże wziąć potwierdzenie?) zmyśleń o antysemityzmie”, „prześladowaniach”, „dyskryminacji”, „Żydów w ZSRR. Nie mając realnych faktów podbudowujących podobne wymyślenia, niektóre żydowskie gazety dochodzą do absurdu, próbując podać jako potwierdzenie „antysemityzmu w ZSRR” nagrodzenie Orderem Lenina żydowskiego obywatela autonomicznego, a świętowanie żydowskiego święta religijnego Symchat Tora w moskiewskiej synago-

Dokończenie na str. 2

Eugeniusz Coffa

Dziecko — jak je widzimy

W ramach cyklu imprez, które redakcja „Głosu” urządza w tym roku z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka, w sali Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki otwarto w czwartek wystawę fotografii z cyklu „Dziecko w reportażu”, a liczy w sumie około 50 zdjęć.

Kazimierz Przychodzki — znany czytelnikom „Głosu” od wielu lat z łamów naszej gazety, a miłośnik fotografii z wyjątkiem indywidualnych i częstego udziału w licznych prezentacjach zbiorowych — jest typem reportera, który nosi w sobie poczucie piękna, holduje wartościom humanistycznym, zdążył doświadczyć refleksji i umiejętności udanej, dobrej kompozycji. Zarazem Przychodzki wyżywa się w tym kierunku fotografii, któremu od szeregu lat przywraca się należne mu honory. Mam na myśli reportaż. Atrakcyjność epoki, w której żyjemy i działamy zmusza do szybkiego rejestrowania wydarzeń, zjawisk i faktów. To zadanie może wypełnić tylko sprawny, działający z określoną myślą i celem fotoreporter, czujący doskonale szybko bijący puls życia. Postępująca technika ułatwia mu tylko to zadanie, ale nie wyręczy w tworzeniu nowych wartości.

Te wszystkie warunki spełnia K. Przychodzki, wypraktykowany od lat w szybkim, bezbłędnym działaniu kamery. Trzeba jednak dodać, że obok zalet dokumentalnych, jakie ma każdy jego reportaż fotograficzny, nasz

Nikos Chadzinikolau

Torturowani

M. Glezosowi

I Ziemia pęcznieje od kości wilgotnych cieni rozebrana do głosów chóru wyjąłowana z chlorofilu w nagłym wylewie deszczu w złocistym mroku tak wysoko że horyzont swą ostrość traci w dźwiękach bliskich porwy ucha po krzyku i ten żal powyżej oczodołów

II Z krwią torturowani na ulicach które tylko dzieła w agonii wieczornych balów za drzwiami na schodach na placach torturowani ufnie od palców po śniadą kostkę mózgu

jeszcze pada ogień zwęglony w głąb jeszcze w błocie późnego uścisku w ranach sprzeczności

w bezbronnych utratach ciepła ciała z materią oddechu z gwałtownym potem odnalezionych milczących nieostyglących by nie powstał zachwyt nim przestaną patrzeć w uległości powietrza o tę troskę spistości o tę przestrzeń co kiedyś zwróci dawne słowa o kształty i barwy różu z tajemnicą u korzeni w imię niewyjawione

III Torturowani podkowami w nieruchomości i ruchu wypełniani tak szczerze że jest słyszalny proch i prędkość światła

Nekropolis ujmuje oczy wstydu litości nienawiści krzyki jeszcze dymią niewierne porom roku oto otwarte na krew i kości w gniew i miłość podwojoną ogniem

Powyższy wiersz uzyskał pierwszą nagrodę w Turnieju jednego wiersza zorganizowanego 18 maja br. w ramach VI Toruńskiego Maja Poetyckiego.

O TECHNICIE PRZY ŚNIADANIU

A niśmy się obejrżeli, a stuknęło równe sto lat wynalazkowi, bez którego niepodobna dziś sobie wyobrazić życia biurowego i pozabiurowego. Wynalazkiem tym jest oczywiście maszyna do pisania. W czerwcu 1868 roku bowiem Amerykanin Sholes uzyskał na ten wynalazek patent, który z całą pewnością może być uznany za „świadełstwo urodzenia” maszyny do pisania, znanej wielu z Państwa z osobistego użytkowania.

Ale że wiek metrykalny nie zawsze odpowiada rzeczywistości — i maszynę do pisania można po prawdzie zaliczyć ćwierć tysiąca lat z okładem! Prototyp tego wynalazku opatentował bowiem jeszcze w 1714 r. angielski inżynier Henry Mill, a dalszy ciąg wieku XVIII i początek wieku XIX przyniosły szereg innych prób skonstruowania przyrządu, który by w czynności pisania mógł zastąpić człowieka.

Powiedzmy w tym miejscu, że wielu z wynalazców przyświecała intencja nader szlachetna: umożliwienie pisania ludziom ociemniałym. Wszelako dobre intencje nie zawsze wystarczają, przeto i maszyna do pisania do połowy XIX w. nie wyszła poza stadium bardziej lub mniej udanych prób.

Po roku 1850 posypały się jednak nowe konstrukcje — tak lic-

ne, że dzisiaj, z perspektywy historycznej, pomyślnie rozwiązanie tego problemu technicznego nie wydaje się rzeczą przypadkową. Może przypadek zrzucił jedynie, że wynalazcami byli — Sholes, Glidden i Soule. Tej właśnie trójce udało się wykonać pier-

Stuletni wynalazek

wszy praktycznie użyteczny model maszyny do pisania. Za pomocą maszyny Sholesa, przed stuleciem można było już zupełnie dobrze pisać — i to pisać szybciej niż ręcznie!

Ta bardzo prymitywna jeszcze maszyna nie przypominała jednak nawet pod względem kształtów obecnej — i co ważniejsze nie była jeszcze produkowana fabrycznie. Pierwsze maszyny seryjnej produkcji ukazały się dopiero w r. 1874.

Oczywiście, sto lat tej „prawdziwej”, „oficjalnej” historii przy-

niosło nie tylko ogromne rozpoznanie, ale i istotny rozwój techniczny maszyny do pisania. Ponieważ, jak sądzić, dla Państwa interesujące są nie tyle szczegóły, co efekty — ograniczę się do podania, że maszyny najczęściej spotykanej konstrukcji (tzw. dzwignowo-czcionkowe, w których naciśnięcie klawisza powoduje ruch dzwigni z umocowaną na końcu czcionką) mogą pisać z szybkością 700 uderzeń na minutę. Jeszcze sprawniejsze są maszyny tzw. głowicowe, w których po naciśnięciu dzwigni klawiszowej następuje odpowiednie ustawienie głowicy, posiadającej na cytrynko-kształtnej powierzchni umieszczone czcionki — i oczywiście odbicie danego znaku. Maszyny takie mogą pisać z prędkością 950 uderzeń na minutę!

Rzecz prosta, prędkość pisania zależy nie tylko od konstrukcji maszyny, ale i od umiejętności osoby, która się nią posługuje. Z tym bywa różnie. Osobie, która wystukuje tekst dwoma palcami, uciążliwie szukając odpowiednich klawiszy — nie pomoże nawet najdoskonalsza maszyna. Pisanie na maszynie też wymaga umiejętności — jest sztuką, której trzeba się uczyć.

Jest też sztuka, która w wielu krajach otworzyła kobietom drzwi do pracy zawodowej.

ELEKTRON

Wojciech Burłowy

BACHUS KRÓLUJE W SADACH

Zielona Góra bez kompleksów

L agodny stok wzgórz pod palmiarnią pokrywa pięknie utrzymana plantacja winorośli. Palmiarnię odwiedza obowiązkowo każdy przybysz, bo gdzie w Zielonej Górze wypić kawę, jeśli nie w gąszczu śródziemnomorskiej roślinności? W przejściu przez winnicę mimo woli myśl ucieka z nasłonecznionego wzgórzka do mrocznych piwnic z debowymi beczkami. Wrośliśmy w winną legendę — legendę, jakiej nie doczeka się pewnie nigdy żaden inny ludzki napój.

Równie dobrze można sobie w palarni pomarzyć o zrywaniu wprost z drzew pomarańczy, albo otrząsaniu orzechów kokosowych. Plantacja pod palmiarnią to właściwie ukłon w stronę tradycji, akcent zdobniczy. Stare zielonogórskie winnice w ubiegłym stuleciu zamieniano na sady owocowe. Dziś Lubuska Wytwórnia Win ma wprawdzie własne uprawy winorośli założone po 1945 roku, ale surowiec czerpie głównie z sadów. Tak więc prawdziwym świętem Bachusa w Zielonej Górze jest owocobranie. Zmiana nastąpiła dawno temu, gdy eksport surowych gron okazał się bardziej opłacalny niż eksport produktu fermentacji.

Tradycje jednak pozostały i podtrzymuje się je pieczołowicie. Dział winiarski, jedyny w Polsce i jeden z nielicznych w Europie, stanowi chlubę niewielkiego zielonogórskiego muzeum.

Prowadzą mnie do tego działu przez hall, w którym na moment tracę poczucie równowagi. Sciągnięty sufit zamalowany ultramarzyną, nawet szyby zachłapanie na granatowo. Nie mogę powstrzymać się od uwagi, że tak musi być pomalowane piekło. Przewodniczka wyjaśnia, że to plastycy w ten sposób tworzyli klimat do wystawy po rozstrzygnięciu konkursu „Złotego Grona”. Niebawem w muzeum nastąpi jednak gruntowny remont.

W piwnicach, gdzie zebrano ekspozycję działu winiarskiego, wraca mi pogoda ducha. Oglądam kielichy, dzbanki, czary, rogi, amfory, puchary — ależ samo wyciszenie rodzajów naczyń stosowanych do wina świadczy o znaczeniu, jakie ludzkość na swoje szczęście i nieszczęście przypisywała temu napojowi. Są beczki, kadzie, prasy, stągwie; ozdoby rzeźby. I wreszcie izba urządzona na wzór starej winiarni. Ileż pomyślości, ile prawdziwego kunsztu rzemieślniczego i artystycznego poświęcono Bachusowi, którego ja zawsze wolę wspominać pod starszym, greckim imieniem Dionizosa!

Choć daleki od bałwochwalstwa dla winnych bożków — przyznając, że z przedmiotów z winem związanych emanuje radość. Zaczynam spekulować: powiadali Rzymianie „In vino veritas”, czyli w winie prawda. Popróbowujmy w winiarskim przybytku odnaleźć jakąś prawdę o Zielonej Górze. Pierwsze skojarzenie — z Zielonej Góry także emanuje radość. Przyjmuję to, ale mi nie wystarczy. Dalsze refleksje pojawiły się w trakcie rozmowy z dyrektorem muzeum Bogdanem Kressem.

Studiował archeologię śródziemnomorską — najpierw w Poznaniu, później w Warszawie. Pisał pracę magisterską o produkcji wina i mimo upływu lat pozostał wierny tematowi. Z pasją opiekuje się działem winiarskim w muzeum, z pasją gromadzi znaczki, kasowniki pocztowe, exlibrisy, nalepki od butelek, grafiki, malarstwo, rzeźbę — wszystko, co dotyczy winiarstwa. Wydał interesującą pracę „Zarys winiarstwa zielonogórskiego”.

Po remoncie, który potrwa pewnie dwa lata, winiarskie zbiory w Zielonej Górze staną się chyba atrakcją na skalę europejską. Zbiory uzupełni orazernia z rzadkimi okazami winorośli. Po remoncie także powstanie inny dział, który zapowiada się niezwykle ciekawie.

Zbiera się wytwory ludowego rzemiosła i ludowej sztuki przywiezione tu przez osadników. Zbiera się wyroby tkaczy, garncarzy i innych rzemieślników, które rodzą się w tej chwili w ich warsztatach. Przedmiotem tu już obecnie są świadectwem integracji, nakładania się przeróżnych wpływów, ale jeszcze trudno odpowiedzieć na pytanie zasadnicze — czy w dwudziestym wieku, gdy seryjna produkcja wypiera kunszt rzemieślniczy, wytworzy się odrębna, lubuska kultura ludowa? Sądzę, że po latach dział etnograficzny muzeum w Zielonej Górze stanie się rewelacją, przy której nawet dział winiarski zniknie w cieniu.

A jednak w winie prawda. Chociaż, klnę się na Dionizosa, nie wypięm ani kropli tego trunku, w dziale winiarskim zielonogórskiego muzeum uświadomiłem sobie jak nigdy dotąd, co to znaczy prawdziwa pasja. Z wiary w siłę tej pasji wypływa moje na razie słabo udokumentowane, przeświadczenie, że kiedyś o lubuskiej sztuce ludowej będzie się mówić podobnie jak o krakowskiej czy wielkopolskiej. Bo wiem pasja — wbrew wszelkim przeszkodom — dąży do tworzenia rzeczy niepowtarzalnych.

TEATR

Przyjaciele z Weroni

O klaski po przedstawieniu trwały nieco dłużej, niż zazwyczaj bywało w tym sezonie. Wiedząc, że spragnieni są w teatrze rozrywki, powitali więc komedię na scenie Teatru Nowego ciepło i serdecznie. I mieli rację. Przedstawienie jest wesołe, ma dosadnie, niemal farsowo rozegrane role charakterystyczne. Zabawny na scenie jest Babak, zabawny jest Warzecha. Wiele w komedii tej jest piosenek, są bogate stroje i kostiumy, są też niezłe aktorskie role: Nogajówna, Horanin, Pogasza, Dąbrowskiego.

A jednak przedstawienie to budzi jakiś artystyczny niedosyt. Niewiele pozostało w nim z Szekspira. Teatr przyzwyczaił się wielką wagę artystyczną przywiązywać tylko do tragedii, komedie Szekspirowskie natomiast przyzwyczaił się upraszczać, akcentować w nich tylko to, co farsowe, zabawne. To, co dla Szekspira było tylko przerwaniem, momentem, który miał przeciwdziałać znudzeniu akcją pierwszego planu tu stało się znowu naczelną sprawą w spektaklu. Do tego typu inscenizacji przyzwyczailiśmy nas już poznańskie spektakle. Tak było ze „Snem nocy letniej”, w którym reżyserka zagubiła mimowolnie całą poetycką wartość dramatu, tak miała się też sprawa z Molierowskim „Świątosciami”, który stracił przez to w przedstawieniu swą całą ostrą społeczną wymowę. Podobnie stało się też z romantyczną historią kochanków i rozdzielonych przez miłość przyjaciół z Weroni. I w tym przedstawieniu wielkość Szekspira poddana została przez teatr nieco w wątpliwość. Powstała tylko zabawna, blaha historia sporu o piękną Włoszkę.

Ale pamiętajmy, że gdy tylko robi się ciepło, gdy zbliża się pora kanikuły widzowie pragną w teatrze przede wszystkim rozrywki. To potencjalne zapotrzebowanie widzów na zdrowy humor i rozrywkę przedstawił Teatr Nowego spełniło. Inna rzecz, że może tylko trochę kosztem interesów artystycznych Szekspira.

O. B.

Teatr Nowy w Poznaniu: „Dwaj panowie z Weroni” komedia Williama Szekspira w reżyserii Lecha Wojciechowskiego i scenografii Zbigniewa Bednarowicza. Muzyka Franciszka Woźniaka, współpraca choreograficzna Zofii Kuleszanki. Premiera 30 maja.

Syjonistyczne ataki na ZSRR

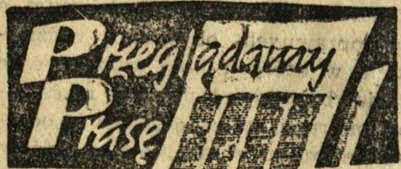
Dokończenie ze str. 1

dze przedstawiają jako „demonstrację protestu przeciw prześladowaniu Żydów”.

Artykuł w „Literni” zwraca uwagę na inne kłamstwa propagandy syjonistycznej, zwłaszcza na te, które mówią o degradacji kultury żydowskiej w ZSRR. Radzieccy autorzy cytują od powiednie liczby, z których wynika, że jedynie w ostatnich latach książki pisarzy żydowskich były wydane w ZSRR w nakładzie blisko 30 mln egzemplarzy.

Warto też zwrócić od siebie uwagę na jeszcze jeden moment antyradzieckiej nagonki rozpętywanej przez światowy syjonizm. Właśnie bohaterstwu Armii Radzieckiej, jej zwycięstw nad hitleryzmem, szybkim pochodowi wyzwolenicemu, setki tysięcy Żydów w Europie zawdzięczają życie i ocalenie przed zagładą. Atakując ZSRR, przy równoczesnym przyjaznym stosunku do spadkobierców Trzeciej Rzeszy — militarystów zachodniemieckich, syjoniści zapominają o historii i jej naukach.

ZDZISŁAW ROMANOWSKI



UZYWCAJNIC

Ten tytuł artykułu Leszka Wyszackiego, na łamach „Stolicy” nawiązuje do terminu „użyteczność”, który dawniej istniał w światku studenckim. Oznaczał on przejście wolnego słuchacza na status zwykłego studenta, którego obowiązywały wszystkie przewidziane regulaminem zajęcia. Termin ten autor odnosi do niektórych grup obywateli naszego kraju, bez uzasadnienia korzystających, jak dotychczas, z pewnych praw obywateli „użytecznych”. Autor zaznacza przy tym, że nie występuje przeciw wszelkim przywilejom, bo są i w pełni uzasadnione, jak np. większe niż przewidują normy mieszkania dla naukowca, pisarza czy malarza.

„Tym razem chodzi jednak — pisze Wyszacki — o zjawisko całkiem inne. Ale sięgnijmy do przykładów. Otóż ostatnie miesiące politycznego rozbudzenia pociągnęły za sobą jako oczywistą konsekwencję pewnych bilansów, pozbawienie się z wielu mniej i więcej odpowiedzialnych stanowisk ludzi bądź nieudolnych, bądź karierowiczów i cwaniaków, bądź wreszcie jednostek szkodliwych. Wielu z nich zostało po prostu sprowadzonych do swoich właściwych wymiarów i kalibru, zarówno intelektualnego jak i w sensie przydatności społecznej. Jednakże w ich własnym, tudzież ich kibiców wyobraźni, stała im się krzywdą. Więcej — sądzą oni, że nabyte kiedyś, często prawem kaduka, możliwości korzystania z przywilejów, powinny być nadal utrzymane w mocy, że należą im się od społeczeństwa i państwa szczególne względy, opieka, nadzwyczajne zabezpieczenia, następnie lukratywne posady i Bóg

wie co jeszcze. W tym miejscu warto chyba i należy zadać publicznie pytanie: a właściwie dlaczego i z jakiego powodu?

Czy wystarczającym powodem do takich roszczeń, jest na przykład fakt, że ktoś przez całe lata był złym kierownikiem, że przyniósł szkody gospodarce narodowej, wprowadził metody dygnitarstwa, kumoterstwa i rozkładu? Albo może dlatego, że w swoim działaniu i uczuciach okazał się człowiekiem obcym, albo wręcz wrogiem interesom społeczeństwa, w którym żył i z którego zaufania korzystał?

Sądzę, że nie są to powody do wyróżnienia, a jeśli nie do ukarania, to na pewno do „użytecznienia”.

Trzydzieści milionów Polaków żyje w określonych warunkach, korzysta z przepisanego metrażu mieszkaniowego, zarabia określoną sumę pieniędzy, jeździ tramwajami, lecz się w ubezpieczalni, korzysta z biur pośrednictwa pracy, spędza urlopy w domach Funduszu Wczasów Pracowniczych — słowem żyje zwyczajnie. Żyć tak i wy. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, nie jest to wprawdzie luksus, ale nie ma też tragedii. A że takie postawienie sprawy i ewentualna praktyka (do czego zresztą daleko) spowoduje lament niektórych grup w kraju, czy głośne rozdzieranie szat ich zagranicznych protektorów, tym nie należy się chyba przejmować, lecz spokojnie robić swoje czyli „użyteczniać”. „Użyteczniać” daje często lepsze skutki dydaktyczne niż inne, może efektywniejsze, metody. Nie mówiąc już o tym, że oni tego bardzo nie lubią. Lubią to natomiast bardzo zwyczajni ludzie”.

NA NOWYM ETAPIE POSTĘPU

Inny problem z zakresu stosunków społecznych a dotyczących bezpośredniego gospodarki, przedstawia Józef Pa-jestka w czołowym artykule „Życia Gospodarczego”, opracowanym na podstawie przemówienia wygłoszonego na zebraniu Zarządu Głównego Polskiego

Towarzystwa Ekonomicznego. Wycho-dząc z założenia, że decydującym wyznacznikiem każdego procesu postępu społecznego jest człowiek, autor zastanawia się: co należy zrobić, w dziedzinie społecznych stosunków ekonomicznych, aby zniknęły wszystkie hamulce ograniczające aktywność ludzką, zmniejszające sprawność działania społecznego.

„Istnieją poglądy — pisze Pa-jestka — że społeczny system kierowania i zarządzania nie jest dla nas rzeczą najważniejszą, ponieważ określa on sposób, formę, a nie treść, cel. Są to poglądy zdecydowanie fałszywe, wywodzące się właściwie z technokratycznego rozumienia systemu kierowania i zarządzania”.

Pisząc o systemie zarządzania, jaki jest nam potrzebny, Pa-jestka stwierdza, że powinna to być rozumna decentralizacja, tzn. nie taka, która opiera się na utopijnej tezie w pełni autonomicznego indywidualnego przedsiębiorstwa i nie taka, która zakłada, że żywiołowy rynek jest najlepszym mechanizmem społeczno - ekonomicznym.

„Potrzebna nam jest — czytamy — taka decentralizacja systemu zarządzania, która zapewni:

▲ że decyzje podejmuje ten zespół ludzki (ten organ), który ma najlepsze rozpoznanie potrzeb społecznych i możliwości ekonomicznych;

▲ że każda rozumna inicjatywa techniczna - ekonomiczna może być szybko i sprawnie wprowadzana w życie, bez ciernistej drogi, zbędnej biurokracji;

▲ że stanie się jasny podział funkcji i odpowiedzialności;

▲ że zagwarantowana zostanie taka możliwość oddziaływania centralnego, która jest niezbędna dla zapewnienia ogólnospołecznej planowości i zabezpieczenia realizacji interesów ogólnospołecznych”.

KOLEKCJONERZY

I jeszcze raz o stosunkach między-ludzkich. Henryk Jankowski w cotygodniowym felietonie „Giełda wartości”

poddaje na łamach „Argumentów” krytyce obowiązujący obecnie system wieloletowości w środowisku pracowników nauki.

W praktyce dochodzi do tego, że z powodu zatrudnienia na więcej niż jednym etacie, niektórzy profesorowie mogą poświęcić się nauczaniu tylko w określony dzień tygodnia i w ściśle określonych godzinach, co stwarza dodatkowe, czasami wielkie, trudności z układaniem zajęć. Wreszcie skutki społeczne tego zjawiska są takie, że w takiej sytuacji możliwości awansu, czy nawet zatrudnienia młodszych, dopiero wyrabiających się, pracowników naukowych są znikome, a czas przeznaczony na nauczanie, w szczególności na wychowanie, jest absolutnie nieproporcjonalny do potrzeb.

„Wady systemu wieloletowości — pisze Jankowski — mnożą się nie tylko w odniesieniu do tych, którzy zawiedli zaufanie społeczeństwa, lecz również w odniesieniu do tych, którzy tego zaufania nie zawiedli. To prawda, iż w pewnych, całkowicie indywidualnych przypadkach, sytuacja może się tak złożyć, iż nie sposób jest w danej chwili uniknąć łączenia określonych funkcji, jednakże warto pamiętać o tym, że nie ma ludzi niezastąpionych. Częstokroć przekonanie o braku możliwości zastąpienia X-a, wynika z utrzymywania się całkowicie fałszywego stereotypu”.

„Prawo i Życie” zamieszcza rozmowę z I prezesem Sądu Najwyższego prof. dr. Zbigniewem Resicem na temat przebiegu i wyników międzynarodowej konferencji praw człowieka. Stefan Bratkowski drukuje w „Kulturze” dyskusyjne „Moje nieśmiarte parę groszy...” na temat polskiej inteligencji, jej rodowodu i usytuowania społecznego. „Tygodnik Kulturalny” piórem Stanisława Adamczyka, przedstawia rozwój kulturalny wsi polskiej.

LEKTOR